



Zapamiętane - zapisane

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XV Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

**Zapamiętane
- zapisane**

Zapamiętane - zapisane

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XV Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Warszawa 2024

Wydawca:

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Naczelna Izba Lekarska

Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie

ZLP Oddział Warszawa

SZPZLO Warszawa Praga-Północ

Redakcja: *Majka* Maria Żywicka-Luckner

Patronat medialny konkursu:

„Gazeta Lekarska”

„PULS”

„Własnym Głosem”

ISBN 978-83-967-601-4-2

Korekta: Zofia Mikuła

Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Zawadzka

Druk: Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, tel. 15 64 99 700

*– Słowo, którego nie wypowiesz, jest twoim niewolnikiem;
to, które wypowiedziałeś, staje się twoim panem.*

Gérard de Villiers, *Śmierć w walizce*

Zapamiętane – zapisane, a pomiędzy, tysiące nigdy niewypowiedzianych słów i jeszcze więcej przemilczeń...

Poetycka wrażliwość i doskonały warsztat – czy to wystarczy, by odważnie i odpowiedzialnie, a przede wszystkim literacko uczciwie, podzielić się z czytelnikiem emocjami? Dobry poeta, jak dobry malarz, nie kopiuje nam świata – sobie tylko znanym sposobem, pozwala nam na nowo go odkryć, doświadczyć i przeżyć.

W obecnych czasach nie mamy trudności w sprawdzaniu, edytowaniu lub usuwaniu zapisanych haseł, z których częściej jesteśmy zmuszeni korzystać niż z własnego imienia, a nie potrafimy, a co gorzej, boimy się opisywać emocje.

Drodzy Czytelnicy, lekturą tej antologii dajcie sobie *szansę na radość wiosny*.

Majka

Protokół z posiedzenia Jury
XV Ogólnopolskiego Konkursu Poetycko-Prozatorskiego
***PULS SŁOWA* dla lekarzy i lekarzy dentystów**

W dniu 10.08.2024 r. jury pod przewodnictwem Marka Wawrzekiewicza, w składzie: Aldona Borowicz-Tchórzewska, Waldemar Hładki, po zapoznaniu się z utworami poetyckimi i prozatorskimi postanowiło przyznać następujące nagrody:

w kategorii poezja:

I nagroda **Bolesław Sawicki** – godło *8586*

II nagroda **Witold Kopeć** – godło *Niś księżycowa*

III nagroda **Ewa Gluza** – godło *Mia*

Wyróżnienie:

Joanna Czajkowska-Ślasko – godło *Irulanda*

Wyróżnienie drukiem na łamach pisma społeczno-kulturalnego
„Własnym Głosem”:

Anna Pituch-Noworolska – godło *Spóźniony*

w kategorii proza:

I nagroda – **Katarzyna Wierzbicka** – godło *Amanogawa*

II nagroda – **Agnieszka Kania** – godło *Pieczątka*

III nagroda – **Monika Szymczakowska** – godło *Hedera helix*

Jury składa podziękowania: Naczelnej Izbie Lekarskiej, Okręgowej Izbie Lekarskiej w Warszawie, Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, Związkowi Literatów Polskich, Dyrekcji SZPZŁO Warszawa Praga-Północ za organizację konkursu. Za patronat medialny dziękujemy czasopismom: „Gazeta Lekarska”, „PULS”, „Własnym Głosem”.

POEZJA

I nagroda

Bolesław Sawicki – godło 8586

Babcia

Moja babcia ze strony ojca była Niemką
Mówiła trzeba zamknąć oberluft bo nadchodzi burza
Gdy przyjeżdżała do nas reperowała nasze ubranka
Siostrze uszyła w rękach sukieneczkę
Prosiła zawsze aby nawlec jej nić do igły
Pamiętam jej drobną postać wąską bezzębną wysuniętą zuchwę
Ostatni raz odwiedziła nas w 1962 roku
gdy urodzili się moi bracia bliźniacy Janek i Józio
Powiedziała że pierwszy raz w życiu widzi bliźniaków
Miałem wtedy 8 lat
Siedziała na moim drewnianym stołeczku boso
bo buty dotąd dobre okazały się zbyt małe
a jej wargi były jak po jedzeniu pierogów z jagodami
takie atramentowe jak moje paluszki po pisaniu obsadką
Nieco później zauważyłem ten kolor w lesie na borówkach
A teraz w bardzo dorosłym życiu dostrzegam go na niebie
i słyszę

zamknijcie oberluft bo nadchodzi burza

Prorok

Dziadek Franciszek ze strony mamy urodził się w 1901 roku
Grypa hiszpanka zabrała mu rodziców i brata
Najstarszy z rodzeństwa
Został z dwoma braćmi młodszy miał cztery lata i siostrą
Należał do Armii Krajowej
Na strychu jego murowanego domu było tajne wejście do schowka
gdzie byli ukrywani ludzie podziemia także Żydzi i broń
Moja matka dowiedziała się o nim ode mnie ośmioletniego chłopca
Pamiętam dziadek wtedy mówił
Tobie wnuczku mówię to jako pierwszemu z rodziny
jego wargi zadrżały głośno zapłakał
Dla mnie to było jak zawarcie przymierza Boga z Abrahamem
Wtedy już byłem ministrantem
Wnuczku nie martw się ten komunizm upadnie
Chciano nas nawrócić na prawosławie
Lekcja zaczynała się od *Bog cara charannij*
ten komunizm przeminie
Wcześniej dowiedziałem się
że po wojnie UB próbowało trzy razy wykonać wyrok śmierci na dziadku
ale ukrywał się w Puszczy Kurpiowskiej i polach
Przetrwał jak Mojżesz na pustyni

Komunizm upadł w rok po jego śmierci

Cmentarz w Wyszku
moje Ramallah

Chcę się uwolnić

Chcę się uwolnić od tego domu
od zagraconej piwnicy i strychu
od zatłoczonych krzeseł stołów szaf na szafach
i między szafami
od krzyczącej kuchni
od lat wygasłego kominka
od twoich skarbów
kryształów flakonów zwałów sukienek butów i skarpet dla całej rodziny
od mebli do renowacji
od twoich kompulsji
Chcę się uwolnić od nieprawidłowych badań
od zgiełku świata
od klucza na wszelki wypadek
od grawitacji
od swojego ciała
I udać się
gdzie w zielone gramy

Chcę się uwolnić

Spacer po granicy Litzmannstadt

Słoneczny dzień czerwiec 2023

Idę ulicą Urzędniczą

Było ogrodzenie z desek druty kolczaste

Do rolwag zaprzęgano wynędzniałych ludzi

Koń był zbyt kosztowny

Hajka chciała popełnić samobójstwo 28 maja

ale ją odratowano

17 czerwca o czwartej nad ranem podeszła pod druty

adres Urzędnicza 29

Strażnik oddał strzał miłosierdzia

Mogła też skoczyć z kładki

ale nie miała już sił aby wejść na nią

A strażnik dostał w nagrodę dzień wolny od pracy

Nieco dalej po aryjskiej stronie

było wesołe miasteczko karuzela

siedzenia w kształcie łódek

Po jednej i drugiej stronie granicy getta dzieci

a różni ludzie

Kanczendzonga

Wspinamy się do bazy północnej Kanczendzongi
przez dżunglę modrzewiowe lasy
kwitnące rododendronowe zarośla
skały śniegi i lody
Szlak często prowadzi wzdłuż rzek
Im to lepiej bo biegną w dół
Ciało słabnie chciałoby dyktować po swojemu życie
oddychać trudniej wolniejszy krok
Im bliżej nieba zaczynam rozumieć
czemu tylko dusza tam zmierza na wieki
Ze skały na skałę
Każde parę centymetrów jest ważne
we wszystkich kierunkach
Miejsce dla owiec z niebieskimi oczami
i dla prowadzącego mnie zielonookiego Anioła B
Piękna słoneczna pogoda
Pięć wierzchołków pięć lodowców

I Ten który przenosi góry
budzi i usypia wulkany

Zatrzymujemy się w bazie północnej na wysokości około 5200
Zmęczenie mija radość uściski
Oddech prawie normalny

Wyżej dla mnie
miejsce święte świętych

Nie w tym życiu

II nagroda

Witold Kopec – godło *Nić księżycowa*

Sny

Sklepiki z cynamonu z kolorem soczystym
Smak rozdzielają twardą poczerniałą kreską
Na ciało karminowe i eter niebieski
Szabasu złoty spokój krzyk zielonej myśli

Sennik współczesny znika w starej fotografii
W mrocznych wspomnieniach niemych czasów peerelu
W oddziałach szaro-leśnych ginących bez celu
W anielskiej duszy Kresów co żyć nie potrafi

Dom dzienny i dom nocny w impresji zaklęte
W obłoków trwają nitkach w słońcu rozpuszczanych
W podniebnym błogostanie pragnieniach rumianych
Z czułości lawendowej i lotnej poczęte

Spotkanie

Już dwadzieścia pięć lat
minęło od chwili
kiedy Pan Cogito
opuścił swoją ziemską postać

Teraz ujrzałem Go w werońskiej kawiarni
gdy przechodził pomiędzy stołami
i rozmawiał
pewnie
o poezji
a może nawet
o życiowej prozie

*Tu sei simile per la poeta polacca
La poeta ha visitato Italia molti volte*
powiedziałem swoją
przełamaną włoszczyznę

On bez cienia sprzeciwu wybuchł
swoim południowym śmiechem
i na pożegnanie
rzekł mi *salve*

Nie wiem tylko
czy uśmiech ten podyktowany był
grą wyobraźni
czy też pobłażaniem

Wiem tylko
że księżyc półobecny
ponad Piazza Bra
cały zasnuł się
chmurami
zaś za murami
starożytnej Areny
rozległy się oklaski

Intervale

*L'arte è grande
e universale*

Verona, 28 lipca 2023 r.

Nieśmiertelny

Tadeuszowi Konwickiemu

Na przekór ekspertom i ruchom gwieздnego zegara
głosiłeś że romantyzm
skończył się w Polsce
dopiero w roku trzydziestym dziewiątym

Żegnałeś go w potarganej wiatrem
kronice wypadków miłosnych
na kresach wolnych jeszcze od okrutnej rzezi

Romantyzm odchodził w werterowskich fascynacjach
zbyt młodych kochanków
z zachodach słońca
milczących i krwawych

Ginął w pudełkach po środkach nasennych
które ogłuszały duszę rozedrganą
w zmęczonym oddechu starca który wyjaśniał sny o miłości

Odchodził na zawsze w utopionej kawalerii
w nadniemeńskich błotach
i w żołnierskiej melodii porwanej na strzępy
przez wezbraną wodę

Romantyzm skończył się w Polsce w roku trzydziestym dziewiątym

Pozostały po nim wspomnienia
które drążą
tkankę myśl i serce

powstańcze wskrzeszenia
leśne i wyklęte

historie liryczne
i chroniczne
których nie da się
uleczyć

Pokój

Są lata trzydzieste
i jest
pokój

Przy stole
biesiadnicy smakują
potrawy tłuste
koty drzemią na przypiecku
gospodyni sprawiedliwie
rozdziela kompoty
dzieci wygarniają z pudełek
różowe landrynki

Dawni towarzysze broni mogą
bez przeszkód celebrować
zwykły polski

los
planować reakcje zobojętniania
na skalę przemysłową
by wapnem gaszonym
nazwanym betonem
powlekać wychodki
z sercem

zaś adiutant
szelmowsko uśmiechnięty
roznosi w powietrzu depesze
i woń perfumerii

Naczelnik w stroju
szarym i bitewnym
przekracza spojrzeniem
przestrzeń pokoju

W oknie otwartym
na wskroś niebezpiecznie
pląsa zasłona
w rytmie znaczonego
szepem Króla – Ducha

O obrotach sfer niebieskich

Często odwiedzam to miejsce
zanim kolejny sierpień
rozpocznie swoje dzieło
i dlatego wówczas słońce
zachodzi o podobnej porze
natomiast księżyc co roku
zmienia swoją krzywą postać

Nic dwa razy się nie zdarza

Rok temu słońce z wysokości
dopalało żółte zielone i brązowe pola
i dymy rozprzestrzeniał wulkan dawno już wygasły

W nocy świerszcze cięły stogi siana
i zwierz dziki wołał
wolnym i donośnym głosem

Dzisiaj powietrze gęstnieje w srebrnej rosie
i pola szare milczą perłście

Pośród chłodnych gwiazd owad
zawiesił swój głos
i tylko cicho szczekał
piesek niespokojny

Rdzenni mieszkańcy zapewniają jednak że za rok
słońce tak jak ongiś
zetnie rozognione pola
i pył się uniesie ponad wzgórzami
zaś kolejna pełnia księżyca będzie
o tej porze już za osiem lat

Albowiem ośią wszechświata
nie jest myśl ani idea
Tym co sens nadaje jest geometria gestów i zdarzeń
i ruch cykliczny galaktyk atomów i planet

I poszedłem jak co roku do kościoła w centrum miasteczka
zdawało mi się wówczas że obrót atmosfery
uczynił świątynię cięższą i bardziej brunatną

Udałem się niepewnym krokiem
do nawy bocznej
która skrywa pozłacany kielich

I wnet objęła mnie
ta sama cisza i nadzieja
i taka sama czułość najbliższa

III nagroda

Ewa Gluza – godło *Mia*

Spojrzenie

Patrzę na Ciebie spojrzeniem bardziej niebieskim od niezapominajek,
które mi przyniosłeś.

Bez cienia cieni na powiekach przymykam oczy
i odchodzę wpatrzona w intencję ukrytą w bukecie,
ale myśli zostają z Twoimi myślami.

Tyle słów ukrytych w pęczku kwiatów, tyle uczuć wokół,
a wszystkie zatopione w niepewności jak robaczek w bursztynie.

Święty spokój

Przeszła przez życie w niewygodnych butach, z ciężką torebką,
Spakowana jak na Sąd Ostateczny.
Czasem płynęła wpław w mętnej wodzie,
Byle do brzegu.
Nie patrzyła w lustro, kiedy jeszcze było warto.
Nogi spętane marzeniami, ręce pełne obowiązków,
Nie grały w tej samej orkiestrze.
Do kogo one należą?
Komu służą?
Zapomniała o sobie w tym życiu na dobre, na złe i na święty spokój.
Zagubiona w myślach omotanych nadzieją jak suknią balową, której
[nigdy nie ubrała.

Anioł Stróż

Wspomnienia rozmywają się jak oddech na szybie w zimową noc
Oddalają się powoli jak statek ze zwiniętymi żaglami.
Płyniesz w przeciwną stronę i masz już inne niebo nad głową,
Pewniejszą myśl, choć czerpiesz wiedzę łyżeczką.
I tylko ten sam Anioł Stróż czasem staje na drodze,
zasłania Ci oczy skrzydłami
i szepcze do ucha: nie wahaj się, nie myśl za dużo,
nie jesteś dość przebiegła, żeby przechytrzyć życie.

Poranek

Obudziłam się dzisiaj jakoś inaczej,
Odważna i gotowa na wszystko.
Poranną kawą załogowałam senne ciało do codzienności.
Umysł nie był jeszcze gotów na aktualizację systemu.
Pracował w trybie oszczędzania energii,
Ale nie właściciela.
Intuicja cierpliwie doradzała rezygnację ze starych nawyków
I powrót do ustawień fabrycznych.
Trzeba ją zagłuszyć rutyną.
Zmarnowana chwila odwagi.
Tyle drogi za nami i aż tyle w złym kierunku.

Wyróżnienie

Joanna Czajkowska-Ślasko — godło *Irulanda*

mokry dzień
przedwiośnie
niepewny śpiew pierwszego ptaka
na horyzoncie ciężarówki
wypełnione po brzegi
błotem chmur
ołowianym ładunkiem
z przygniecionego niebem miasta

buty zapadają się
w nabrzmiałą wodą
ślady kół
w ziemi
obolałej
z bliznami po zimie
wystawionej na coroczną próbę cierpliwości
czekania na Gabriela

Popielec – wczesny marzec

z prochu w proch
my – krew z krwi
kość z kości
światłość ze światłości

wiosna za wiosną
dzika śliwka cała w bieli
a jeszcze w nas pozostał
powidok jej poprzedniego kwitnienia

drzewa nie pytają o sens
co roku niezmiennie
wydają kwiaty gotowe na zagładę
aby ich krótkotrwały wdzięk
oswajał nas z ostrzem czasu
krążącym
coraz bliżej i bliżej

gdy otwierając oczy na świt
czytamy w nim przyszły zmierzch

Tour de vie

to wiedziała od zawsze
że najważniejszy jest dystans

więc wybrała maraton
i biegła biegła
skacząc przez wpisy w kalendarzach

biegła myśląc czym przyprawi jutro
skoro ziarno po ziarnku trwonila sól
zsychał się chleb
wino zmieniało się w ocet

a czas wciąż nie chciał
otwierać się szeroko jak okno o poranku
ani nawet dyskretnie jak jej wypchana torebka

tylko rajstopy rutynowo puszczały oczko

Wyróżnienie

drukiem

Anna Pituch-Noworolska – godło *Spóźniony*

Opowiem Ci (I)

Opowiem Ci
O mnie której już nie ma
O mieście z zakurzonej fotografii
Szarej milczącej rzeki i ludzi
Biegących z dnia na dzień

Opowiem Ci
O świecie który odpłynął cichym wieczorem
W podziemną przestrzeń czasu i zapomnienia
Nie ma mojego świata
W rozbitym lustrze
Nie ma już w nim mojej twarzy

Zamykam książkę bez zapisu
Choć żyję...

Opowiem Ci (II)

Moje sny bez koloru bez dźwięku
Jadą pociągiem
Do znanych miejsc

Stukot kół zamyka w sobie
Czas płynący równomiernie
Mimo naszych gwiazdozbiorów
Naszych księżyców w nowiu
Moich prywatnych dróg
Do których nikt nie ma kluczy

I nie ma stacji
I nie ma celu
Pociąg w którym zamknął
Nas los
Do świtu i ostatniej gwiazdy
Powoli płynie stukot kół

Dmuchawce

Wiatr
Ciepłym popołudniem
Przyniósł dmuchawce
Na moje dłonie

To tylko dmuchawce
To nie ty
Stąpałeś twardo po ziemi
Każdego dnia
Życie brałeś garściami

Teraz
Na łące pełnej dmuchawców
Odpoczywasz za tą górą
Licząc chmury
Biegące za zachodem słońca

Rozsypuję dmuchawce
Tylko tyle po nas zostanie
Na górskiej łące

PROZA

I nagroda

Katarzyna Wierzbicka – godło *Amanogawa*

Wiosenna przepustka

Cisza pęcznieje we mnie i koi. Wypełnia sobą wszystkie przestrzenie. Wtedy nie ma miejsca na martwienie się na zapas, na jutro, wymyślanie scenariuszy dni do przodu.

Czasem chciałabym mieć w sobie taką moc, by schować cały mój strach do starej szafy, przykryć go dla pewności stosem ciepłych szali. Zamknąć szafę na klucz. Klucz zgubić. Zapomnieć. I żeby nikt nigdy tego klucza nie znalazł.

Coraz częściej budzę się z myślą natrętą jak mucha, że ta wymarzona w dzieciństwie dorosłość była zupełnie przereklamowana. Albo po prostu trafił mi się jakiś niedopasowany do mnie model. Za mały, za ciasny, jak źle uprany kombinezon.

W sumie życie moje też bym mogła oddać do prania. Czy wtedy byłoby mi w nim bardziej do twarzy? Gdybym mogła dziś – tylko tak na próbę uprać moje życie – jaki powinnam wybrać program? Czarne, biel czy kolory? Czego było więcej? Może dziś wystarczyłoby pranie krótkie? Może tylko zmiękczyć, odplamić kilka dni? Właściwie całe życie – jak wielki bęben pralki – lub ten z totolotka. Wylosowane. Stop. Brak możliwości zmiany.

Na szybie auta przykleił się listek. Wycieraczka przez to rozmazuje świat przede mną i tak niewyraźny. Deszcz za oknem wyzwolił jakiś potok we mnie. Oczyszczający. Kto powiedział, że płacz jest oczyszczający? Mam wrażenie, że wręcz przeciwnie – wyzwala większy smutek, rozmazuje tusz na rzęsach i obraz za szybą. Za to ten mały uparty liść, świecący wręcz jaskrawo tą swoją świeżo-wiosenną zielenią w deszczu, przywarł do

tej przypadkowej, przecież, chyba mojej własnej wycieraczki i trwa. Uparcie. Nie puszcza. Nie daje się zmyć. Zwiać. Skąd w nim taka siła?

Może powinnam jak ten liść... Nie spływać łzami. Być. Na dziś najpiękniej. Uparcie.

W lustrze widzę upływający czas. Niewyobrażalnie goni. Kolejne kalendarze, mam wrażenie, kupuję coraz częściej. Może wyleciał jakiś mały trybik, coś zepsuło się w wielkim mechanizmie i teraz nagle mimo wszystko zadziwia mnie, że właściwie zaraz po Bożym Narodzeniu szykujemy się do majówki. Kiedyś jeszcze był czas na chodzenie w prochowcu, chowanie szminki do kieszeni płaszcza – jak Poświatowska. Teraz, zanim zaplanuję letni urlop i nabieram w sobie zapas ciszy na plaży, już szukam z dziećmi kasztanów.

Rozsypały się moje myśli dziś, w biegu dnia. Ustawiałam z nich misterną wieżę. Szukałam równowagi. A potem jeden błędny ruch i poleciały jak spłoszone ptaki. Zamarłam zdumiona. Wydawało mi się, że zawsze jestem dobrze zorganizowana i poukładana. A teraz siedzę bezradna jak dziecko i staram się przywołać pierwszą, najbliższą myśl skrytą – tak czuję – gdzieś zupełnie blisko. To jak zabawa w ciepło-zimno z dzieciństwa. Ale dziś zdecydowanie ciągnie chłodem i pustką. Myśli nie chcą powrócić. Zmęczenie. Tak, powiesz. Ale czy zmęczenie usprawiedliwia poczucie pustki? Szukam śladu wątku, nitki, która poprowadzi mnie dalej. Na znajome ścieżki moich refleksji. Ktoś najwyraźniej poprzestawiał nocą drogowskazy i ja nie potrafię znaleźć drogi do samej siebie. Może jutro uda mi się i znów siebie znajdę. W codziennych rytuałach, kolejnych wyuczonych przez lata krokach.

Tak naprawdę to wszystko znów prowadzi do refleksji o ciszy i strachu. Już nie czekam na cud. Czekam na sen, który da wypoczynek, choć od wielu miesięcy nie daje. Wybudzam się właściwie bez powodu. Okazuje się, że można obudzić się bez budzika, w środku nocy i już nie zasnąć. Wiosna budząca do życia zieleń i kolory wokoło – we mnie budzi jedynie duchy wspomnień i jest jak alert w telefonie, że muszę umówić się na coroczne badanie, którego tak bardzo nie lubię. Którego, mimo bycia silną kobietą po prostu się boję.

Muszę – jak co roku wiosną – bo taki scenariusz nakreśliło moje życie. Zatem co roku wiosną zapętlam się w tej wiosnie i celowo znów gubię wątek. Przekładam przypomnienia w telefonie o kolejny dzień, od kilku dni. Obowiązkowa? Tak myślą o mnie w pracy i w domu. Zatem obowiązkowo jutro postaram się zadzwonić i potwierdzić wizytę. Chyba, że znów pogubię myśli i siebie nie znajdę.

Coraz częściej mam ochotę uciec. Ta mało dojrzała chęć ucieczki od samej siebie i własnego życia, dopada mnie w najmniej oczekiwanych momentach. W drodze do pracy chciałabym minąć skrzyżowanie ze światłami, nie skręcić jak powinnam w lewo. Ale jechać dalej, przed siebie, bez celu, bez końca. Albo rano schować się pod kołdrą i udawać po prostu, że mnie nie ma. Wyłączyć telefon i już. Ale przecież od razu pojawia się następna myśl, dorosła – poważna, że takie zachowanie jest głupie, dziecinne, że rodzina by się martwiła... W pracy umówieniu pacjenci. Nie można. Nie można uciec od siebie, od swoich ścieżek, na które, zanim rano wejdę już i tak widzę ślady stóp z wczoraj.

Kupiłam kolejną książkę. W sypialni rośnie stos książek do przeczytania. Uwielbiam zapach papieru, taki prosto z drukarni, nieczytanej publikacji. Zaciągam się tym zapachem z lubością. Kiedyś przeczytałam, że do każdej książki powinno się dostawać odpowiednią ilość wolnego czasu, by się cieszyć lekturą. Bardzo chętnie chciałabym dostać czas, nie tylko na lektury. Ale wiem już zbyt boleśnie, że nie można marzyć zbyt śmiało, oczekiwać wolnego czasu i nudy, by świat nie zakpił z nas, nie spełnił tych naszych pragnień zupełnie na odwrót.

Chciałabym za to oswoić czas, który biegnie dookoła zbyt szybko. Chciałabym nauczyć go spaceru, coraz bardziej bocznymi drogami. Chciałabym, by nie szczyrzył na mnie wskazówek zegara, nie warczał na mnie budzikiem. Może gdybym się bardzo postarała, czas stałby się jak oswojone zwierzę, łagodny, lubiący przysiąść obok, dać się pogłaskać, ułaskawić. Do osławiania potrzeba dużo cierpliwości. Jeśli we mnie jej nie ma, to może dlatego mój czas goni, spłoszony moimi lękami i strachem. Postaram się dziś usiąść w ciszy z książką, kawą – może wtedy i czas zwolni, odpocznie, złapie oddech. Złagodnieje i będzie jak leniwy kot, przeciągający się z lubością w słońcu. Tylko może najpierw zadzwonię i umówię wreszcie to badanie.

Jak byłam mała, lubiłam wyobrażać sobie inne światy, myśli biegły do przodu, do przyszłości, do planów moich rysowanych we mnie coraz śmielszą linią. Teraz zatapiam się we wspomnieniu, nurkuje w nie, szukam znanych raf, starych muszli na dnie. Szumią we mnie coraz tliwiej. Taki szum wygląda kanty codzienności, oplata je dobrymi obrazami. Wtedy nie kaleczę sobie dłoni o te wszystkie złe dzisiejsze historie, moje lęki, które rosną wokół jak ostre skały.

Wiosna jest nieprzyzwoicie radosna. Wybucha kolorami kwiatów, nie bawi się w stonowane tony, w nijakie szarości. Krzyczy zielenią. Bije w oczy światłem. Żółci się kwiatami. Walczy o każde nowe życie, na nowo. A

ja cofam się w tej wiosennej aurze do wspomnień, kiedy brzemienna miałam wiosną wybuchnąć nowym życiem. Cudowny stan innej świadomości, bycia połączeniem dwóch żyć. Wtedy cała moja wiedza o embriologii była niczym wobec tego cudu, który dokonywał się we mnie. Komórki posłusznie, zgodnie z naturalnym planem rozkwitały we mnie pąkami włosów, rzęs, nowymi komórkami poszczególnych narządów i wybijały cudowny rytm tego upragnionego, nowego serca we mnie. A gdy się we mnie poruszyło to życie, kiedy zrobiło jakiegoś figlarnego fikołka, to czułam wtedy motyle w brzuchu, miłosne, radosne, piękne.

Czemu zatem ta natura mądra w podziałach nowego życia, zakpiła ze mnie po wielu latach i nagle zaczęła dzielić się zupełnie złośliwie w inne komórki zbędne mi, niechciane. Zaczęła zacierać rysy prawidłowych granic, zabierać kolejne pola dla siebie, zagarniać mnie, tworzyć inne obszary. W dodatku robiła to chyba nocą, w czasie snu, skoro we mnie nie było poczucia toczonych bitew o kolejne milimetry moich tkanek. Nie czułam ani ataku, ani obrony. Byłam poza... Nikt nie pytał mnie o zgodę, by zmieniać to, co we mnie pozornie miało być moje własne, trwałe.

Wiosenne porządki. Odkurzam półki i moje myśli. W zakamarkach zapomnianych, między alejami książek znajduje utracone marzenia. Wyblakły. Znalezionej kolczyk przypomniał mi dawny wakacyjny wyjazd. Doszłam do ściany z kalendarzem. Jego omijam. Biję w oczy majową datą jak wyrzut sumienia.

Ludzie żyją od urodzin do urodzin. Liczą daty, zdmuchują kolejne świece na tortach wymyślając marzenia. Moje ciało zmieniło rytm. Zgubiło ślady wielkich marzeń. Pomyliło kalendarze. Nie zdmuchuję świeczek, bo marzenie jest niezmiennie od lat. Teraz żyję od wiosny do wiosny, choć urodziłam się w środku lata. Znów wiosennie czekam na kolejne badania i zastanawiam się, czy przegląd techniczny wypadnie pomyślnie? Czy dostanę przepustkę na kolejny rok? Czy wiosna we mnie rozkwitnie radosnym przyzwoleniem, czy powieje chłodem? Po kolejnej wizycie – jeśli usłyszę „widzimy się za rok” – wsiadę w auto krzykliwie czerwone. Pojadę przed siebie, bez planu, choć na chwilę z takim małym szaleństwem w oczach. Zrobię sobie wagary od życia. Na przepustce. Znów za oknem będzie trochę rozmazany świat. Ze szczęścia zmrużę oczy, włączę głośno muzykę, zamilknę zaszuchana.

Tylko jutro muszę wreszcie umówić się na to badanie. Dać szansę sobie na radość wiosny.

II nagroda

Agnieszka Kania – godło *Pieczątka*

Wania w cuglach aparatu władzy

Odległość pomiędzy konikiem garbuskiem a koniem czystej krwi arabskiej to dziesięć minut spacerkiem, pięć truchtem, trzy rowerem. Najszybszy człowiek świata, Kenijczyk David Rudisha, przebiegłby ten odcinek w półtorej minuty. Opolu zajęło to osiemdziesiąt siedem lat, siedem miesięcy i piętnaście dni. Uroczyste odsłonięcie drugiego pomnika konnego odbyło się w maju 2018 roku. Miasto świętowało osiemsetne urodziny, autor, Wit Pichurski, czterdzieste trzecie.

Po drugiej wojnie światowej Oppeln przepoczwarzalo się w Opole. Ile niepewności towarzyszyło tym przeobrażeniom, mówi wstęp do informatora turystycznego z roku 1948: „Jak trudno informować o mieście, które – niewielkie – znamy tak dobrze, ale które jest nieodgadnione: jak poukłada swoje tysięczne nici interesów, świadczeń i zwyczajów zachodzących między urzędem, warsztatem stolarskim, posterunkiem milicjanta, kinem, sklepem galanteryjnym. Jakiego nabierze ono charakteru? Jakimi pasmami połączy się z krajem...”.

Jeśli w ogóle połączy się ze starym, nadwiślańskim krajem. A może będzie czyrakiem, kłopotliwą naroślą? Do Opola przybyli repatrianci z Kresów Wschodnich, mieszkańcy centralnej Polski i Ślązacy z okolicznych wiosek. Osadnicy zobaczyli kamienice nietknięte przez wojnę i wypalone do cna, mijali podłogi bez sufitów, framugi bez szyb i zegary z kukułką w otwartych na wszystkie strony willach. Widzieli portrety rodzinne na zmytych deszczem tapetach i zdjęcia Adolfa Hitlera na tle Reichstagu. Potykali się o sztucce walające się po rumowiskach, które kiedyś były ogrodami,

skwerami i dziedzińcami, straszyły ich rozbebeszone misie i puste wózki dziecięce.

Dawny los nie opuścił miasta wraz z jego mieszkańcami. Reklamy zachwalały tytoń Lichhorna i magiel Kellinga, zegarki Hoffmana i czekoladki Weissa, szyldy podpowiadały gabinet doktora Schlesingera i atelier fotografa Glauera. Afisze powtarzały przybyszom, że ci obcy, wrodzy ludzie kupowali herbatę w delikatesach, zanosili garnitury do pralni i buty do szewca, chorowali, robili sobie zdjęcia i palili cygara. Nowi przysiadali czasem na starych ławkach z fikuśnymi poręczami i rozmyślali o dziejach domów, w których przyszło im mieszkać. Chcąc nie chcąc, połączyli swoje dzieje z dziejami poprzedników. Używali pożyczonych talerzy, dzbanków do kawy i poszew na poduszki. Ich drzwi zdobiły mosiężne tabliczki z niemieckimi nazwiskami, na korytarzach leżały najeżone włosiem wycieraczki z napisem „Guten Morgen”.

Zawile były te powojenne czasy. Na przesiedleńców nie czekały tu żadne wspomnienia. Czekало poczucie bezdomności i niepewność. Nasłuchiwali kroków na schodach, bali się pukania do drzwi i pytań: dlaczego, skąd, jakim prawem? Ostrożnie wzywali się w miasto. Z początku macali poniemieckość, potem ją oswajali, jeszcze później zacierali i przywoływali zaprzeszłą polskość. Usprawiedliwiali przejęte i zatrzymane widelce, kredensy i fotele uszaki. Nie musieli się tłumaczyć. Günter Grass w rozmowie z Pawłem Huelle zdobył się na wypowiedzenie gorzkiej prawdy: „Rozpoczęliśmy wojnę, przeprowadziliśmy ją w sposób zbrodniczy i przegraliśmy ją. Ceną za to jest utrata prowincji oraz ból ludzi, którzy stracili swoją ojczyznę”.

Pamięć przeszła w niepamięć. Poniemieckie znikало z Opoła. Gdzieś się podziały emaliowane tabliczki adresowe i tablice urzędów państwowych. Zgubiły się afisze teatralne, reklamy i zadrukowane markizy sklepowe. Ubywało pomników. Jeszcze przed wojną przepadł król Fryderyk II Wielki, który stał na rynku: spiżowy, wsparty na lasce, na tle podziurawionej oknami fasady ratusza. Później stracił się śpiący żołnierz upamiętniający poległych na Wielkiej Wojnie rezerwistów. Ze szczytu Wieży Piastowskiej runął pruski orzeł i spadł w chaszcze na Ostrówku. „Leżał [tam] jak zestrzelona wrona. Jedno skrzydło wbiło się w ziemię, drugie, rozczapierzone zawisło w powietrzu” – opowiadał Ryszard Hajduk. Pomnikowi Felixa Kupscha dopisało szczęście. Wystarczyło skuć z cokołu pamiątkową tablicę i zamazać niemieckie inskrypcje, aby wpasował się w rosyjską bajkę o Wani i Koniku Garbusku.

A gdzie Wania, tam i przychylność peerelowskich władz. Do Października'56 o rzeźbie mówiło się na zebraniach partyjnych: że dumnie reprezentuje realizm socjalistyczny, opiera się dekadencckim wpływom Zachodu, służy społeczeństwu i aparatowi władzy.

Już ja wyleczę jego wysokość!

Drugi opolski pomnik konny zaczął się od ratusza i konkursu, do którego zaproszono lokalnych twórców. – Nikt tak nie pokaże księcia jak artysta z tej ziemi – przekonywał urząd. Do konkursu zgłosiło się ośmiu rzeźbiarzy. Dostali kilka miesięcy do namysłu i wytyczne: zarówno księżę Kazimierz, jak i koń mieli być przedstawieni realistycznie. Ostateczny termin na złożenie szkiców rzeźbiarskich przypadł, na któryś tam poniedziałek do godziny osiemnastej. Każdy rzeźbiarz miał swoją strategię na wygraną. Wit Pichurski postawił na ceramikę. – Nie będę lepić księcia z plasteliny! – powiedział. Jak powiedział, tak zrobił. Użył szamotu. Jeszcze do piątkowego wieczoru poprawiał, cyzelował, dokładał i skrobał, wreszcie zaniósł rzeźbę do kamienicy przy Wrocławskiej, gdzie Uniwersytet Opolski ma swój Wydział Sztuki. W poniedziałek rano pobiegł do pieca odlewniczego. Otworzył drzwi i zdębiał. Księżę spadł z konia i się potrzaskał.

W tej chwili w artyście obudził się chirurg. – Już ja wyleczę Jego Wysokość! – zawołał i zadzwonił po erkę. Pogotowie w takich przypadkach pędzi na sygnale. Pod kamienicę z czerwonej cegły podjechała karetka. Przyjechała prosto ze szpitala dla rozbitych aut i przywiozła lekarstwo: szpachlę samochodową, która ma ten sam kolor co szamot. O ósmej z minutami zaczęła się operacja: szukanie części ciała poszkodowanego, łatanie organów, prostowanie połamanych nóg, klejenie korpusu, ratowanie kręgosłupa, naciąganie skóry. Reanimacja trwała dziewięć godzin. Pacjent nie był zaintubowany. Salę operacyjną opuścił na własnych, a dokładnie końskich nogach. Co więcej: prezentował się lepiej niż przed wypadkiem! Był, jak by to powiedzieć, uczłowieczony. I wygrał konkurs.

Zaczęła się walka z czasem. Do odsłonięcia pomnika zostały jakieś dwa lata, a roboty było co niemiara: wynająć halę, zgromadzić drabiny, podnośniki, stal, gips, dłuta i szlifierki. Potem zamknąć się w baraku, postawić szkielet i dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok po roku rzeźbić, kalibrować, szukać proporcji, kubistycznego brzucha i ażurowej grzywy, poprawić, cieszyć się i wściekać. Ponadto słuchać gderania urzędników, którzy mieszały się do wszystkiego, począwszy od książęcego nosa, skończywszy na końskim ogonie. Należało też dopilnować fundamentów (mniej więcej takich jak pod willę w Konstancinie) i głazu, na który będzie się wspinać ogier (skałę obiecali Szwedzi, ale się rozmyślili). Trzeba zamówić brąz i patynę, uzgodnić transport i kolejkę w odlewni, martwić się o piec, żeby odpalił, nie dostał zadyszki czy innej pylicy.

W maju 2018 roku na opolski rynek wjechał *Casimirus dei gracia dux opoliensis*, czyli Kazimierz, z Bożej łaski książę opolski. To on zlecił budowę ceglanego zamku godnego księżnej Violi, córki bułgarskiego cara Kałojana, która mu była „nie panią, nie służącą, lecz towarzyszką”. To on dokonał pierwszej lokacji Opola. Działo się to gdzieś pomiędzy 2011 a 2017 rokiem. Plan miasta naszkicował księciu ówczesny urbanista. Na szesnastu hektarach ziemi zmieścił rynek, plac targowy i drewniane, kryte gontem domy. Przewidział szerokie na dwa metry ulice i plac pod budowę kościoła. Niedługo po lokacji świątynię postawiono i proboszcz Ryginald mógł zamknąć w relikwiarzu drzazgę ze świętego krzyża – pamiątkę z krucjaty księcia Kazimierza. Opole miało wszystko, czego tylko dusza zapra-gnie. Brakowało mu tylko murów obronnych. Za niedługo urosły i mury.

O ile pierwszy pomnikowy koń był dla opolan za mały i za gruby, to drugi okazał się za wysoki i za chudy. Pęciny po kogucie, kutas po Gołocie – mówiło się na rogatkach. Albo Don Kazimierz dosiada żyrafy, Sancho Musioł hamuje na wirażu przy moście zamkowym.

Zawistnicy nie widzieli chyba średniowiecznej pieczęci Kazimierza. Książę ma na sobie kolczugę i tunikę, a na głowie hełm garnczkowy. Nie-wiele go widać. Za to koń, to gorącokrwisty arab! Lekki i zwinny. Delikatny i wytrzymały, z niewielką głową, dużymi oczami, mocno zaznaczonymi chrapami i zaokrąglonym podbródkiem. Małe i wąskie uszy zwracają się ku sobie, zaś długa, łabędzia szyja jest kropka w kropkę szyją ogiera z rynku. Wit Pichurski przypieczętował gotyk.

III nagroda

Monika Szymczakowska – godło *Hedera helix*

Ja wydmuszka

Jest już po wszystkim – tak powiedziała położna, która wiozła mnie na inny oddział, z dala od płaczących noworodków i szczęśliwych rodzin. Faktycznie, po wszystkim – pomyślałam – nie ma nic. Położono mnie na nowym łóżku, w nowej sali; położna wyszła, chyba ze sporą ulgą. Nikt nie lubi obcować ze śmiercią i smutkiem; często nie wiadomo, jak się wtedy zachować; co zrobić ze wzrokiem, z rękami, ze słowami. Dużo łatwiej dzielić z kimś radość. Zresztą taki jest przecież zamysł położnych – witać na świecie nowych ludzi i cieszyć się radością matek i ojców. Nikt nie uczy w szkołach medycznych, jak rozmawiać o śmierci, a tym bardziej – jak z nią obcować.

Zostałam sama; w pustej sali, z pustym brzuchem. Pomimo ogromnego zmęczenia porodem (tak, to był poród, choć zdecydowanie za wczesny), nie mogłam zasnąć. Leżałam skostniała z bólu i z ulgi (choć tego wstydziałam się najbardziej; ulotna i upiorna w tej chwili emocja – ulga). Już nie płakałam. Wszystkie łzy wypłynęły ze mnie przez ostatnie 4 dni, od czasu diagnozy – przedwczesna czynność skurczowa, rozwarcie na 4 cm, pęcherz płodowy wpuklony do pochwy. Przez wszystkie te dni podejmowano próby wyhamowania tego, co jak się okazało, było nieuniknione. Ale dawało nadzieję! Że zniosę wszystko, każdy ból i każde odarcie z intymności, byle tylko dać dzieciom szansę. Przekraczałam więc kolejne progi – zmęczenie, oddawanie moczu i stolca do „basenu”, podmywanie przez męża i personel, znudzone westchnienia pań salowych, „że znowu basen”, drżenia całego ciała po kolejnej kroplówce z fenoterolu. Pomimo mojego szczerzego pragnienia

i pełnej otwartości na wszystko; pomimo całodziennych modlitw po cichu, Stwórca zdecydował inaczej. Chłopcy musieli się urodzić, bez szans na życie poza mną.

Nadszedł wieczór. Szpitalny oddział powoli cichł z typowego w ciągu dnia, często niezauważalnego szumu. Milkły rozmowy na korytarzu, wolniej stukwały buty personelu, gasły odgłosy wózków do rozwożenia leków. Nadchodziła cicha noc. Cicha, ale wcale nie święta; bez jasności lamp wychodziły ze wszystkich kątów smutki i strachy, i nacierały na mnie ze zdwojoną siłą. Łzy znowu płynęły, bez jakiegokolwiek kontroli. Kłęby myśli, czarne i kolczaste, przyspieszały bicie serca i oddech. Ciemność i cisza.

Po nocy nadszedł ranek, na przekór wszystkim. Rana goi się prawidłowo, wszystko przebiega dobrze – powiedział starszy doktor, a potem chrząknął zmieszany – no, proszę się nie martwić, jest pani młoda, zdrowa; będzie pani miała jeszcze mnóstwo dzieci, no – i wyszedł. Łzy same płynęły. Jakie mnóstwo? Przecież ja już miałam dzieci! Wybraliśmy z mężem już ubranka na pierwsze dni po urodzeniu i wózek, taki ładny, niebieski. Co z TYMI dziećmi?

Po kolejnej szpitalnej dobie, spędzonej na bezmyślnym patrzeniu się w sufit lub ścianę, dostałam kartę wypisową. Przyjechał po mnie mąż, w towarzystwie ukochanych dziadków, bo nie chciałam wracać do własnego domu. Jeszcze kilka dni mogliśmy spędzić w małym, ale pełnym zrozumienia mieszkaniu i dopiero stamtąd ruszyć tylko we dwoje, aby zmierzyć się z pustą rzeczywistością. Zamknęliśmy wspólnie drzwi kolejnego rozdziału równocześnie z zamknięciem szklanych drzwi szpitala. Ale to nie przyniosło ulgi.

W kolejnych dniach nie chciałam nikogo martwić, przecież i tak smucili się naszą sytuacją. Tak, już coraz lepiej – odpowiadałam mechanicznie. Czasem tylko skulona w pozycji embrionalnej cicho płakałam. Ale potem przestawałam i uśmiechałam się, choć trochę krzywo. Ból został; trochę skostniały, trochę zasuszony...

Po kilku tygodniach bezruchu i smutku, napisałam w swoim starym pamiętniku:

Ciało kobiety nie zapomina jeszcze długo o ciąży; piersi nadal bołą w niespełnieniu, a drobne ruchy perystaltyczne przez chwilę z wielką nadzieją rozpoznajesz jako dowód trwającego wewnątrz ciebie życia. Ale nic tam tak naprawdę nie ma. I ten przeblysł świadomości boli wielokrotnie, w ciągu kolejnych, niezmiennie następujących po sobie dni.

Spis treści

Słowo wstępne – <i>Majka</i> Maria Żywicka-Luckner	7
Protokół	8
Bolesław Sawicki	11
Witold Kopeć	16
Ewa Gluza	22
Joanna Czajkowska-Ślasko	26
Anna Pituch-Noworolska	29
Katarzyna Wierzbicka	34
Agnieszka Kania	38
Monika Szymczakowska	42

ISBN 978-83-967-601-4-2

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Warszawa 2024

